

## ZDZISŁAW STRYCHARZ

ur. 1945; Lublin



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, PRL
Słowa kluczowe	projekt Archiwum Historii Mówionej - opracowanie i udostępnienie online najcenniejszych zasobów, ulica Królewska 4, dzieciństwo, mieszkańcy kamienicy na Królewskiej 4, państwo Barszczewscy, Władysław Barszczewski, Tadeusz Barszczewski, Zbigniew Barszczewski, Krzysztof Stec, kolarstwo, państwo Nowosad, państwo Kanadys, praca w wulkanizacji, Józef Miszczak, dawne losowania lotto, Tadeusz Marciniak, pani Łodziak, Jerzy Łodziak, państwo Stawscy, pani Bury, pan Niemczuk, Michał Nowosad, Ryszard Nowosad, życie codzienne, warunki mieszkaniowe

### Wspomnienia o mieszkańcach kamienicy przy ul. Królewskiej 4

Królewska 4, wczoraj nawet przechodząc zaglądnąłem na podwórko, żeby sobie odświeżyć wspomnienia. Trochę to inaczej wygląda, jak kiedyś. Teraz budynek-twierdza, bo jest domofon, więc już tam nie każdy może wejść. Przedtem była brama otwarta, zamykana o godzinie jedenastej. Dozorca mieszkał w budynku, więc tam do niego się dzwoniło. Trzeba było parę groszy dać, żeby zszedł na dół i otworzył bramę, bo nie każdy chciał się ujawniać, że po nocy wraca, więc starał się do jedenastej sprawy załatwić. Dzisiaj po bramie tylko zawiasy zostały, tej bramy już nie ma. Na podwórku, na samym początku, była stajnia, w której były konie, i pan Barszczewski, który był właścicielem tych koni, mieszkał na pierwszym piętrze. Używał normalnie koni i wozu, jako swój warsztat pracy –przewoził różne rzeczy. Potem tą stajnię zlikwidowano i zamieniono na wulkanizację. I syn pana Barszczewskiego –starszy był Władysław, młodszy Zbigniew –założył wulkanizację. Ale nie był zbyt znającym fach, więc zatrudnił pana Józefa Miszczaka, który był mistrzem wulkanizacji –potężny człowiek, metr dziewięćdziesiąt, ze sto trzydzieści kilo wagi, ale taki bardzo serdeczny, o gołębim sercu, i bardzo dobry fachowiec. No i tam ta wulkanizacja pracowała. Ponieważ zawsze młodemu człowiekowi pieniędzy brakowało, więc ja tam poszedłem, zapytałem się, czy mogę im pomagać –miałem wtedy czternaście-piętnaście lat. A oni mówią: „Zdzichu, dobra. Przychodź”. I tak powoli, powoli, takie wolne chwile po szkole, a w sobotę, to już można było cały dzień - tam do godziny trzynastej była praca, bo kiedyś zawsze w sobotę była praca do trzynastej –i chodziłem, pomagałem. Wydawałem towar, potem, jak ktoś przynosił

oponę dziurawą, trzeba było tą oponę –jak to mówili –rozbuć, czyli były dwie łyżki –nie jak dzisiaj, że jest specjalne urządzenie, i ładnie zdejmuje, oddziela oponę od felgi. Wtedy trzeba było tymi łyżkami. Trzeba było bardzo pilnować, żeby nie zrobić tak zwanej przyszcypki, czyli nie uszkodzić, bo się zalepiło dziurę, a potem się tą dętkę wkładało, i można było uszkodzić, i znowu była dziura. Ale ja nabrałem wprawy, i to mi dosyć dobrze szło. Poza tym miałem taką rolę szczególną, bo wypełniałem totolotka. Totolotek wtedy był czynny. Było czterdzieści dziewięć dyscyplin –jak dzisiaj –do wylosowania, a każdy numer od jednego do czterdziestu dziewięciu, miał swoją dyscyplinę. I przykładowo żużel, jak pamiętam, to był czterdzieści dziewięć, szachy –czterdzieści dwa, jeździectwo chyba osiemnaście, i przy każdym numerze była nazwa dyscypliny. Losowanie było raz, w niedzielę najczęściej, na stadionach, a w zimie, to gdzieś w halach, jak były mecze rozgrywane. No i najczęściej brano z widowni dziewczynkę, nie raz ona była ustawiana, nie raz nie –tak ludzie mówili, czy to prawda –nie wiem. Tej dziewczynce zamykano oczy chusteczką, i ona tam losowała jedną z tych piłeczek. Piłeczkę się odkręcało, wyjmowało się papierek, papierek się rozwijało i był numer podany. I tych sześć numerów było losowanych. I kupon, żeby wypełnić, to on miał jakby trzy odcinki. Jeden odcinek był dla centrali w Warszawie, jeden dla Lublina czy tam dla wojewódzkiej kolektury, a trzeci był dla tego, który ten kupon składał. I tam było imię, nazwisko, adres. Potem wprowadzono jeszcze zamiast imienia i nazwiska, i adresu –można było wprowadzić okaziciel. Miało to jakiś przyczynek, bo tam nie raz ktoś miał pieniądze, a chciał je wyprać, nie? No to mógł odkupić taką szóstkę czy piątkę, żeby udokumentować, że on wygrał, ma pieniądze, i może tymi pieniędzmi dysponować. I było bardzo ciekawie, bo dzisiaj, po godzinie czasu od losowania mamy wszystkie wyniki i wiem, jakie są wygrane, i możemy tą wygraną odebrać w każdym miejscu w Polsce –tam, gdzie jest punkt lotto. Natomiast wtedy było tak, że po tym losowaniu następowało sprawdzanie. Były specjalne osoby zatrudnione, one miały specjalny szyfr-nakładkę na każdy kupon tam złożony, był specjalny protokół, gdzie się wpisywało numer banderoli, numer kuponu i ilość tych trafnych, i która to kolektura. Były banderole, bo w punkcie nadawczym panie przyklejały banderole, stemplowały, który numer kolektury, no i potem tylko w tym punkcie można było odebrać. Jak się przynosiło kupon, to pani patrzyła, i sprawdzała na swoim protokóle, czy to jest właśnie ten numer kuponu, ten numer banderoli, ile wygranych na tym kuponie stwierdzono. No i zawsze w „Kronice Sportowej” we wtorek po dwudziestej pierwszej był komunikat totalizatora sportowego, i podawano, jakie to wyniki, ile kto wygrał, i tak dalej. Dzisiaj, to wygląda całkiem inaczej. No i pracowałem tam przez cały czas. Dostawałem chyba pięćset złotych na tydzień. To były bardzo duże pieniądze, jak na tamte czasy. Rodzice się dziwili, że ja od nich pieniędzy nie biorę –byłem ambitny, zarobiłem, to już nie prosiłem. Skąd ja te pieniądze biorę? –„No przecież chodzę na dół tam do wulkanizacji, pracuję”. –„Aha” - to ich uspokoiło, że gdzieś tam nie mam jakichś szemranych interesów, z jakichś tam źródeł nie wiadomo jakich te pieniądze

gromadzę. Była tam bardzo miła atmosfera. Wspomnę jeszcze taką rzecz, charakterystyczną dla tamtego okresu. Mianowicie któregoś razu jest w pracy nowy pracownik. Duży taki chłopisko, silny widać, nie ma tłuszczu, same mięśnie. Pytam się: „Panie Józefie –pana Miszczaka –co to za gość?”. A on mówi: „Cicho. Wiesz, myśmy go tutaj wzięli, musimy go wspierać. To jest kolarz, nazywa się Krzysztof Stec, musi trochę pracować” Taki nasz przyjaciel, Tadzio Marciniak –on miał wulkanizację Krakowskie chyba 66, był w cechu dosyć ważną osobą, i cech też się angażował, żeby takich sportowców, w miarę wyróżniających się, wspierać. No ale nie wspierał ich tak, że dawał im tylko pieniądze i nic więcej, tylko żeby coś z siebie dali, i żeby pracowali. No i ten Krzysztof Stec tam pracował. Jak on jadł śniadanie, to on miał takie dwie pajdy podwójne ze środka, z okrągłego chleba, więc to były potężne pajdy. Do tego miał trzy albo cztery jajka, albo nie raz jakaś tam wędlinka była. No i miał taką butelkę po winie zero siedemdziesiąt pięć, i tam była herbata. I ta herbata często była zatykana papierem, bo korka nie było, czy gdzieś zginął, i on to na raz siadał, zjadał, wypijał, i szedł dalej do pracy. Potem okazało się, że ten Krzysztof Stec, został sławnym kolarzem. Jeździł w Wyścigu Pokoju, on nie był tego pokroju, co założmy Szurkowski czy Szozda, ale miał niesamowitą rolę w drużynie z racji tego, że był bardzo silny, bardzo mocny, bardzo zahartowany, więc on był tak zwanym rozprawiającym, likwidującym założmy jakieś tam ucieczki, przygotowującym finisz, bo to zawsze te role są w drużynie podzielone. I był taki czas, kiedy drużyna polska był strasznie mocna, i praktycznie wygrywała etap po etapie. No i któryś tam etap dali wygrać Krzysowi. Jego rozprawiali w nagrodę za tą jego katorżniczą pracę w zespole, jaką on odgrywał. Umarł, on nie żyje w tej chwili, chyba niedawno pożegnał się z tym światem. Jak skończył karierę, to reperował rowery, przy Nadbystrzyckiej taki był zakład, jest chyba ten sklep z rowerami, to on tam w serwisie pracował. Byłem tam kiedyś, nie bardzo mnie poznał, no ale to ja jego bardziej znałem jako osobę, która się wyróżniała z racji, że był tym sportowcem dosyć znanym. Do kamienicy wracając - kamienica miała dwa piętra i poddasze. Na pierwszym piętrze mieszkał pan Barszczewski z żoną. Mieli syna Zbigniewa, który mieszkał na pierwszym piętrze, ale po drugiej stronie budynku, i mieli syna Tadeusza, który jakiś czas mieszkał, ale potem się gdzieś wyprowadził. Na drugim piętrze mieszkała rodzina Kanadysów –wspominałem o nich poprzednio. Oni mieli czwórkę dzieci: dwóch synów i dwie córki. On był fotografem. Zajeżdżał raz w miesiącu, z gestem, dorożką na podwórko. Potem była pani Łodziak z synem. Syn Jurek był taki niepokładany, bo nie miał głowy do nauki. Miał głowę do mechaniki. On rower, motocykl złożył, rozłożył –nie było problemu. No i był od nas starszy gdzieś o pięć-siedem lat. On nas bez przerwy fascynował swoim zachowaniem, swoją postawą. Ale on był taki złośliwy, wykorzystywał nas, żebyśmy się między sobą bili, sprzecjali, takie miał negatywne cechy. Jak była zima, to mówi: „To teraz polizcie tą balustradę’ –bo tam był balkon. Myśmy polizali i nam języki przywarły do tego. Więc krzyk, zaraz matki przyleciały z ciepłą wodą. Awantura była, ale nam ten język już do normy wrócił

–i my dalej do Jurka, bo tam bardzo sympatycznie być u niego w domu. Potem mieszkaliśmy my, potem mieszkali państwo Stawscy, państwo Malugowie –też na tym drugim piętrze. I na trzecim piętrze były trzy mieszkania: mieszkała pani Nowosad, pani Bury i pan Niemczuk. Pani Nowosad miała dwóch synów: jeden był Michał, drugi Ryszard. Michał był zezowaty, jak się na niego patrzyło, to on niby patrzył, ale chyba nie widział, nie wiem. I on kupił sobie motocykl, i on na tym motocyklu jeździł. I raz był taki przypadek, że brama szerokości że Star jako samochód ciężarowy się zmieści, a on wyjeżdżał tym motocyklem i wjechał w rynnę, która była pół metra na murze od ściany. Miał ten feler, i już potem przestał już jeździć. Ale potem jakoś tak doszedł do siebie, i już tak normalnie funkcjonował. Nie wszyscy w domu mieli możliwość korzystania z ubikacji, z łazienki, bo woda owszem, była doprowadzona, ale myśmy na przykład dłuższy czas w domu musieli chodzić do takiego zbiorowego ustępu, ubikacji na podwórku –to też takie było nieciekawe, szczególnie w zimie. Ale potem pomogłem rodzicom, i zrobiłem im ubikację, tak że już mogli na starsze lata z tego korzystać. No i tak na ogół atmosfera była dosyć dobra. Ludzie się znali, taki był balkon od podwórka, on był przez całą długość budynku, to tam często też się odbywały zabawy, wychodziły starsze osoby, plotkowały. Kto tam nie miał apetytu, to go się brało na balkon, i on tam mógł jeść, bo była komitywa z innymi, więc dodawało to apetytu. I obok, w połowie chyba pięćdziesiątych, zbudowano mały dom towarowy. On do dzisiaj funkcjonuje –nie wiem, co tam dokładnie teraz jest. I tam były takie ciekawe przypadki budowy, które ja obserwowałem. Mianowicie kiedyś musiał tam być hotel, jeszcze przed wojną, ale ten budynek był cały zburzony. I potem, jak przygotowywano się do budowy tego małego PDT-u, to dokopano się do basenu. Nie wiem, jakie on miał wymiary, ale miał kafelki takie biało-czerwone gdzieś pięć na pięć, i jak patrzyło się z balkonu, to tą całą budowę było widać, bo ten budynek niewysoki w sumie był, powstał dwupiętrowy. I w którymś tam momencie byłem świadkiem, jak ktoś, jeden z robotników, odkopał jakiś taki trzos. Co tam w środku było –nie wiadomo, być może były jakieś monety, jakieś złota, może inne. I widziałem, jak drugi robotnik wziął garść piasku, rzucił temu w oczy, wyrwał mu ten trzos i uciekł na dół, na Lubartowską. Pogonili za nim, ale był tak sprytny, że uciekł. On się już w tej pracy w ogóle nie pojawił, tak mówili następnego dnia, takie były komentarze, więc być może coś tam znalazł, coś tam było cennego, a bał się samosądu, czy już uważał się za bogatego, i zniknął. Życie tak upływało myślę dosyć sympatycznie. W lecie było bardzo gorąco. Dzisiaj mówią: wyspa ciepła. Królewska była wyspą ciepłą już ileś tam lat temu. A tam było to bardzo wszystko nagrzone. Okna się otwierało, trzeba było po południu pójść gdzieś do Saskiego Ogrodu, troszkę tam wśród drzew na ławeczce usiąść, odpocząć, czy tam na plac Litewski –to było trochę bliżej, ale tam na placu Litewskim było mniej zieleni. No i jak jeździły samochody ciężarowe, jeździły autobusy, trolejbusy, to się odczuwało, że budynek lekko drży, czyli te wszystkie środki komunikacji, czy transportowe, miały jednak wpływ, ale do dzisiaj dom stoi, nie zawalił się. Ja się w dwudziestym trzecim

roku życia, po ślubie, wyprowadziłem, rodzice zostali.

<b>Data i miejsce nagrania</b>	2020-02-26, Lublin
<b>Rozmawiał/a</b>	Piotr Lasota
<b>Redakcja</b>	Małgorzata Maciejewska
<b>Prawa</b>	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"